Rok XXII. We Lwowie, dnia 31. grudnia 1915. Nr. 51.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . 13— K.
półroczna . 7— „
kwartalna . 3 50 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: X. Dr. A. Pechnik, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Ojciec św. Benedykt XV.

(Kilka szczegółów z jego życia i dotychczasowej działalności).

(Ciąg dalszy).

W Rzymie nad Tybrem, na brzegu degli Schiavoni (Słowian) znajduje się kościół św. Rocha, zbudowany w r. 1499, a przeznaczony pierwotnie na nabożeństwa, odprawiane dla ludzi, zajmujących się żeglugą na Tybrze i wyładowywaniem towarów w przystani tu założonej. Cześć i nabożeństwo do św. Rocha, patrona przeciw zarazom były i są we Włoszech bardzo wielkie. Stąd nie dziw, że przy tym kościele powstało zaraz bractwo św. Rocha, które Papieże wyposażyli w liczne odpusty i przywileje, a członkowie jego należą często do pierwszych rodów rzymskich, pomimo że przy uroczystościach kościelnych muszą brać na siebie wór pokutniczy, przypominający ubiór pielgrzymi św. Rocha.

Otóż i X. prałat della Chiesa w r. 1887 wstąpił do tego bractwa. Był też jego gorliwym członkiem, na równi z innymi wdziewał na siebie wór pokutniczy, a gdy przyszła nań kolej, nosił krzyż w piątki w czasie odprawiania przez bractwo Drogi Krzyżowej i w tym dziwnym stroju szedł w orszaku pogrzebowym, gdy odprowadzano na cmentarz zwłoki zmarłego członka bractwa, albo gdy ono brało udział w pogrzebie jakiego wybitnego dostojnika.

Bractwo św Rocha obrało go też swoim gwardyanem, a potem (w r. 1892) swoim duchownym przełożonym, a godność tę zatrzymał nadal, gdy został arcybiskupem bolońskim.

Miasta włoskie, będące dawniej stolicami rzeczypospolitych i niektóre inne większe pobudowały w Stolicy chrześcijaństwa kościoły dla swoich obywateli, osiadłych w Rzymie. Stąd mają tu swoje kościoły Florentczycy, Bolończycy, Neapolitańczycy, Genueńczycy. Ci ostatni od r. 1481 na Zatybrzu mają kościół św. Jana i szpital, przeznaczony dla marynarzy genueńskich. Przy kościele istnieje też i bractwo Genueńczyków, które ma staranie i o potrzeby materyalne swych członków. I do tego bractwa przystąpił X. prałat della Chiesa, tem chętniej, że ojciec jego był w niem gubernatorem, czyli rządcą. I ono także, podobnie jak bractwo św. Rocha, budowało się pobożnością X. Jakóba.

W Rzymie oddawna już odbywa się po kościołach wieczna adoracya Przen. Sakramentu, a urządzona jest w ten sposób, że kiedy w jednym kościele kończy się czterdziestogodzinne nabożeństwo, równocześnie zaczyna się w drugim, potem w trzecim i tak przez cały rok. W nocnej adoracyi biorą jednak udział sami mężczyźni, zawsze pod przewodnictwem kapłanów. Adorujący dzielą się na grupy, złożone z paru świeckich katolików i kapłana. Od godziny 10 w nocy do 6 zrana adorują oni Boskiego Zbawiciela, wystawionego w monstrancyi.

Otóż i X. prałat della Chiesa przystąpił w r. 1897 do pobożnego związku mężczyzn od wiecznej adoracyi i przez pewien czas pełnił w nim urząd przewodniczącego. Należał do najgorliwszych adoratorów, a z szczególniejszym zapałem brał udział zawsze w adoracyi w nocy noworocznej, chcąc widocznie wyprosić dla siebie i innych łaski potrzebne na cały rok. Nawet kiedy już jako kardynał bawił w Rzymie, w czasie czterdziestogodzinnego nabożeństwa w kościele Bolończyków św. Petroniusza, udał się do kościoła i według dawnego zwyczaju odprawił godzinę nocnej adoracyi.

Wielkim też był wielbicielem Najśw. Maryi Panny od dzieciństwa. To nabożeństwo spotęgowało się jeszcze więcej, gdy został kapłanem.

W pobliżu Watykanu, w kościółku św. Jakóba, znajduje się dobrze oddana grota z Lourdes, istnieje tam też bractwo niepokalanie Poczętej Najśw. Maryi Panny. X Jakób della Chiesa często modlił się przy tej grocie, a w uroczystość Niepok. Poczęcia na zaproszenie spieszył sam ze

Mszą św. i rozdawał Komunię generalną. Później, już jako arcybiskup, w liście pasterskim będzie się zwracał do Matki Bożej o pomoc dla siebie i swojej trzody, poprowadzi też wielką pielgrzymkę włoską do Niepokalanej Dziewicy w Lourdes, a wreszcie jako Papież wyda swe pierwsze orędzie pasterskie do świata katolickiego w dniu poświęconym pamięci narodzenia N. M. Panny.

W Watykanie, w kaplicy paulińskiej, będącej kościołem parafialnym dla mieszkańców Watykanu, odprawiają się wieczorem nowenny przed głównemi świętami. X. prałat della Chiesa uczestniczył zawsze w tych nabożeństwach, a ostatnie w wigilię przed uroczystością sam odprawiał. Mając zaś swoje mieszkanie w sąsiedztwie kaplicy paulińskiej, codziennie wieczorem odbywał w niej nawiedzenie Najśw. Sakramentu.

X. kardynał Bisleti, sprawując urząd „mistrza izby apostolskiej" (maestro di camera apostolica) i majordoma papieskiego, przez długie lata żył w ciągłej styczności z X. prałatem della Chiesa, o którego życiu kapłańskiem powiedział te słowa do X. de Waal: „Jego całe życie upływało mu na modlitwie i służbie. Przechadzki nawet jako wytchnienia po pracy nie znał; zaproszenia na uczty przyjmował rzadko i tylko wtedy, gdy urząd jego i zajmowane stanowisko zmuszały go do tego. Chociaż bardzo późno, bo często o północy, udawał się na spoczynek, wstawał mimo to wcześnie, a o 6-tej zrana punktualnie odprawiał Mszę św. w swojej prywatnej kaplicy w Watykanie".

Mozolna praca dyplomatyczna pochłaniała mu prawie wszystek czas, a przecież potrafił go jeszcze znaleźć na wykonywanie urzędu nauczycielskiego.

W nowej dzielnicy Rzymu, za zamkiem Anioła, Siostry Miłosierdzia założyły większą ochronkę dla opuszczonych dziewcząt. Kierownictwo tego zakładu wychowawczego powierzył Ojciec św. prałatowi Bisletiemu, któremu pomagał X. della Chiesa, ucząc dziatwę katechizmu. I później także, gdy OO. Redemptoryści na rozkaz Ojca św. zaczęli w tej dzielnicy działalność misyonarską, aż do chwili, kiedy przeniósł się do Bolonii, pracował tam z całem poświęceniem, przez co zasłużył się wielce około podniesienia pod względem religijnym tej opuszczonej dzielnicy Rzymu.

Przy ulicy Merulana, niedaleko od Lateranu, mieści się macierzysty dom Sióstr św. Anny. Dzisiejsza przełożona jeneralna tego domu, liczącego około 50 sióstr, jest krewną Benedykta XV. Otóż przez szereg lat X. della Chiesa spieszył co niedzielę z Watykanu do tego domu, aby do sióstr wygłosić egzortę lub kazanie.

Przy kościele Trójcy św. (Trinita dei monti) znajduje się wielki pensyonat Najśw. Serca Jezusowego, prowadzony przez zakonnice Serca Jezusowego. W pensyonacie tym X. prałat della Chiesa przez szereg lat miewał czwartkowe wykłady z dziedziny dziejów Kościoła i o początkach chrześcijaństwa w Rzymie. Wykładów tych słuchała i matka gorliwego kapłana.

Także w zakładzie wychowawczym polskich sióstr misyonarek przez sześć lat uczył wychowanki katechizmu.

Wreszcie dodajemy, że należał także do komisyi papieskiej, zarządzającej hospicyum św. Marty, przylegającem do bazyliki św. Piotra, które, zbudowane przez Leona XIII w r. 1884 i przeznaczone z początku dla chorych na cholerę, obecnie jest domem gościnnym dla pielgrzymów. W tem hospicyum często bywał, a osobliwie gdy przebywali w niem pielgrzymi z Genui lub z Hiszpanii. Przemawiał też do nich z zapałem, by korzystali z łask Boskich i każdy krok po ziemi rzymskiej znaczyli uczuciami wiary katolickiej. Po śmierci X. kardynała Moceniego, który zawiadował tem hospicyum, Leon XIII powierzył ten urząd X. prałatowi della Chiesa. Piastował go i za Piusa X.

VI. Praca w Sekretaryacie Stanu.

Kiedy późniejszy Kardynał Rampolla wyjechał jako nuncyusz do Madrytu (w r. 1883), wziął ze sobą, jako sekretarza nuncyatury ucznia swego w urzędzie dyplomatycznym X. Jakóba della Chiesa, który otrzymał przed wyjazdem godność tajnego podkomorzego dworu papieskiego. Pobyt jego w Hiszpanii trwał cztery lata (do r. 1887) i przyczynił się bardzo do rozszerzenia jego widokręgu duchowego. Pozyskał on tam sobie powszechną cześć i sympatyę — ubodzy sławili nadzwyczajną jego dobroczynność.

Zostawszy sekretarzem Stanu, powołał go znowu Kard. Rampolla na swego sekretarza prywatnego, wkrótce zaś zamianował go Leon XIII. urzędnikiem. Jako t. zw. po włosku „minutante" wstąpił X. Jakób della Chiesa 4. sierpnia 1887 do służby dyplomatycznej w Watykanie.

Minutanci w służbie papieskiej w sekretaryacie Stanu i w Kongregacyach rzymskich są początkującymi urzędnikami. W sekretaryacie Stanu mają oni osobne działy, przydzielone im z poszczególnych krajów, z których napływają sprawozdania, a które oni następnie opracowują, zestawiają i ze swymi wnioskami oddają sekretarzowi Stanu. Minutanci zatem są praktykantami, spełniają zadania podrzędne i dlatego też rzadko się o nich publicznie mówi, a ich zdolność i pracowitość znane są tylko ich przełożonym, a zwłaszcza kardynałowi sekretarzowi, a w innych Kongregacyach kardynałom prefektom.

W cichości też, bez żadnego szerszego rozgłosu pracował X. della Chiesa przy boku kardynała Rampolli. Głośne pochwały ze strony Ojca św. nie spotykały go za pilną i skuteczną pracę, gdyż Leon XIII, surowy dla siebie i dla podwładnych, nie zwykł był pochwałami, odznaczeniami obsypywać swych urzędników, by snać nie wbijali się w pychę. Cenił jednak bardzo zdolnego i pilnego swego młodego urzędnika i po paru latach wyróżnił go od innych. Oto 3. stycznia 1893 r. powierzył mu jako swemu delegatowi odwiezienie biretu kardynalskiego arcybiskupowi Sanz y Foras w Hiszpanii.

Po jego wstąpieniu do sekretaryatu Stanu bardzo ważne sprawy przechodziły przez ten urząd papieski. W r. 1889 Rosya nawiązała na nowo ze Stolicą Apostolską stosunki dyplomatyczne, które Pius IX. zerwał z powodu obłudy rosyjskiej i ustanowiła nawet przy niej swego nadzwyczajnego posła. Chciała jednak za to wytargować dla siebie różne ustępstwa, między innemi wprowadzenie nabożeństw dodatkowych po kościołach katolickich w języku rosyjskim, a przez to chciała doprowadzić do odstępstwa od wiary katolickiej Polaków, Białorusinów, a z czasem i grecko-katolików w Galicyi i na Węgrzech.

Po śmierci arcybiskupa Dindera, Niemca, rząd pruski długo targował się ze Stolicą Apostolską, zanim zgodził się ostatecznie na objęcie stolicy arcybiskupiej w Gnieźnie i Poznaniu przez Polaka, X. Floryana Stablewskiego.

W tych i innych ważnych sprawach współdziałał niewątpliwie także X. Jakób della Chiesa.

W wyborze i mianowaniu urzędników swoich Papież ma wolną rękę. Musi jednak liczyć się z dostojnikami, stojącymi na czele urzędów, aby im nie narzucić osób nieodpowiednich, albo którychby oni stanowczo nie życzyli sobie jako współpracowników. Nie ulega też żadnej wątpliwości, że Leon XIII. po kreowaniu kardynałem dotychczasowego podsekretarza Stanu, prałata Tripepiego, na przedstawienie i życzenie kardynała Rampolli zamianował 28. kwietnia 1901 r. X. Jakóba della Chiesa podsekretarzem Stanu, tj. zastępcą kardynała sekretarza. Przy tej sposobności nadał mu też zarazem godność wyższego prałata dworu papieskiego. Do stanowiska podsekretarza Stanu przywiązany jest kanonikat u św. Piotra, z dochodami, jak na stosunki włoskie, dość znacznymi, bo wynoszącymi rocznie 10 tysięcy lir włoskich.

Nowy podsekretarz Stanu zrzekł się jednak kanonii, zajmowanej przez jego poprzednika, z powodu, że udział w chórze na pacierzach kapłańskich i w nabożeństwach, odprawianych przez kapitułę, zająłby mu za dużo czasu tak bardzo potrzebnego do dobrego, należytego wykonywania trudnego urzędu podsekretarza Stanu. O zwolnienie zaś od chóru nie śmiał prosić Ojca św., bo widocznie nie zgadzało się to z jego sumieniem delikatnem. Ludzie bowiem sumienni nie chcą zysku materyalnego, na który nie zapracowali.

Na jedno wszakże musiał się zgodzić: na zmianę mieszkania i przeniesienie się do Watykanu, gdyż tam mieszka podsekretarz Stanu tak samo, jak kardynał sekretarz. Dotychczas mieszkał on w parafii św. Eustachego wspólnie z matką swoją (ojciec jego zmarł 29. maja r. 1892). Opuszczenie jej było dlań bardzo bolesne, bo matkę swą Joannę bardzo kochał miłością prawdziwie synowską. Zasługiwała ona zresztą na to, gdyż była to prawdziwa niewiasta katolicka, a cała parafia św. Eustachego i bliższe otoczenie znały jej głęboką pobożność i chrześcijańskie miłosierdzie dla ubogich i potrzebujących pomocy. Jakiś czas pozostała jeszcze w dawnem mieszkaniu, a syn w niedziele i święta po Mszy św. i wysłuchaniu spowiedzi i w innym wolnym czasie odwiedzał ją tem skwapliwiej, że dni jej pielgrzymstwa ziemskiego zbliżały się szybko ku końcowi. Po powrocie do Pegli zmarła tamże 9. lipca 1904 r. (C. d. n.)

X. Dr. W. Miś.

„Towarzystwo popierania prasy katolickiej"
ogniskiem i punktem centralnym wszystkich towarzystw katolickich.

Z wiosną 1914 roku rozpoczęło swoją energiczną działalność „Towarzystwo popierania prasy katolickiej". Cele tego Towarzystwa aż nadto dobrze znane są polskiemu społeczeństwu, ażeby było potrzeba na nowo je teraz przypominać. Jak potrzebnem jest takie Towarzystwo, o tem świadczy najlepiej fakt, że powstanie jego powitano wszędzie z radością i że przez kilka miesięcy jego istnienia przystąpiło doń kilka tysięcy członków ze znacznemi wkładkami.

Straszna wojna, która wstrząsnęła wszystkimi ludami Europy, sprawiła, — co można już dzisiaj skonstatować — że słabe organizacye od razu upadły, przestały istnieć i nie wiadomo nawet, czy po wojnie zdołają powrócić do życia. Jedynie organizacye, oparte na silnej podstawie i których powstanie dyktowała słuszna przyczyna, przetrwały szczęśliwie burzę wojenną.

Do tych trzeba zaliczyć „Tow. pop. prasy katolickiej" wywołane potrzebą obrony zasad katolickich przed atakami bozbożnej prasy, oparte na wiecznotrwałym fundamencie Kościoła katolickiego. Ma ono zapewniony byt trwały. Wojna i niem wstrząsnęła, ale go nie zniszczyła. Po chwilowej przerwie wraca ono na nowo do wyznaczonej sobie działalności.

Najbardziej pociesza to, że nawet w czasie wojny zgłaszają się starzy i nowi członkowie ze swojemi wkładkami. Zarząd Główny nie odbywał przez kilka miesięcy swoich posiedzeń, jak to czynił dawniej, bo wojna na to nie pozwalała, ale teraz na nowo powróci do swojej systematycznej pracy.

„Towarzystwo popierania prasy katolickiej" czekają, zwłaszcza z nastaniem pokoju, ważne zadania. Im bardziej zasobne będzie w fundusze, tem owocniejszą będzie jego działalność. Dlatego wszyscy dobrzy katolicy powinni spieszyć z użyczaniem poparcia temu Towarzystwu.

Chwalebne jest poparcie pieniężne ze strony jednostek, ale daleko donioślejszem w skutkach okaże się poparcie, użyczane „Tow. pop. prasy kat." przez inne towarzystwa i organizacye katolickie. „Tow. pop. prasy kat." powinno stać się niejako ogniskiem środkowem, w którem powinny się skupić wszystkie inne towarzystwa. Przez prasę bowiem katolicką mają przemawiać wszystkie towarzystwa do szerszej publiczności; prasa katolicka ma te towarzystwa zawsze zasłaniać przed atakami skądkolwiek bądź pochodzącymi; wszystkie towarzystwa potrzebować będą zawsze prasy katolickiej, wszystkie też, stwarzając sobie silną prasę — dadzą zarazem dowód swojej siły. Dorobek pracy wszystkich towarzystw katolickich powinien znaleźć swój wyraz w redakcyach pism katolickich, a w szczególności wielkiego, potężnego katolickiego dziennika.

Wszystkie więc katolickie towarzystwa w kraju powinny przystąpić do „Tow. p.p kat." z rocznemi wkładkami, odpowiedniemi ich zasobom pieniężnym.

Że w naszem społeczeństwie jest już poczucie tego obowiązku, że prasę katolicką należy popierać, tego dowodzi między innymi fakt następujący:

W zakrystyi kościoła św. Floryana w Krakowie, w drugą niedzielę Adwentu b. r., po nieszporach odbywało swoje doroczne walne zebranie starożytne i zasłużone Bractwo Ubóstwa Chr. Pana. Piszący te słowa przypomniał zebranym w krótkich słowach wielkie znaczenie prasy katolickiej i zachęcił obecnych, ażeby z funduszów Bractwa przeznaczyli odpowiednią kwotę na „Tow. popier. prasy kat." Otóż nietylko uchwalono jednogłośnie

na ten cel 20 koron, ale nadto obecni złożyli natychmiast z własnego popędu na Towarzystwo 27·80 kor.

To podaję do publicznej wiadomości dlatego, że tak samo wszystkie bractwa, towarzystwa i organizacye katolickie z całą gotowością przystąpią natychmiast do „Tow. pop. prasy katolickiej,“ byleby tylko był ktoś, ktoby o tej sprawie pamiętał i w odpowiedniej chwili ją przypomniał. A tylko przez pozyskanie najszerszych warstw wiernych, choćby ze skromnemi wkładkami rocznemi, dopniemy zamierzonego celu. Bo musimy mieć na oku stałe, systematyczne, coroczne popieranie prasy katolickiej, a nie tylko chwilowe, sporadyczne, choćby większe nawet wysiłki. Paulatim summa petuntur.

Niechże więc w całym kraju wszystkie sodalicye towarzystwa, bractwa, organizacye katolickie choć raz na rok złożą na Towarzystwo przynajmniej skromne ofiary, a zbiorą się wielkie fundusze, potrzebne na poparcie pism katolickich.

Tylko nie odkładać tej ważnej i doniosłej sprawy „na później,“ aż się wojna skończy itd. Bo kto stoi w miejscu, ten naprawdę się cofa!

„Tow. pop. pr. kat.“ informowało stale społeczeństwo katolickie o swojej pracy w krótkich komunikatach Teraz po przejściu pierwszej i najgroźniejszej burzy wojennej Towarzystwo powraca do normalnej pracy! Jest nadzieja, że wszystkich interesowanych będzie mogło wkrótce na odpowiedniej drodze zaznajomić z dotychczasowymi wynikami swojej działalności.

Kraków. *X. Józef Mazurek.*

Na czasie.

Gdy w walkach krwawych mnogie mężnych bojowników naszych zastępy zwycięsko ścierają się z wrogiem, orężem tych, co po za frontem bojowym pozostali, powinna być praca — odnowicielka tego, co w gruzy legło, a odżyć i odbudować się musi. By zaś moc i trwałość tej odbudowie zapewnić, na fundamencie wiary i solidarności narodowej oprzeć ją trzeba. Tak bowiem wiara nasza z narodowością naszą zespala się i zrasta, iż jednej od drugiej oderwać nie wolno. A więc znak chrześcijański tej pracy ma przyświecać i jej kierunek wskazywać, a hasło „swój do swego“ do niej pobudzać i w niej jednoczyć. Jak spolszczenie miast i miasteczek naszych, jak zeswojszczenie handlu i przemysłu naszego — tak stworzenie i rozwój katolicko-narodowej prasy było oddawna potrzebą, a w czasach obecnych piekącym się stało postulatem naszego narodowego życia. Wiece, zjazdy, kongresy niejednokrotnie tej potrzebie dały publiczny wyraz. Akcya jednak na tem polu dotąd słaba, za mało intenzywna i rozwinięta, większych nie odniosła sukcesów. A choć nie można zaprzeczyć, że jest postęp, jest lepiej— przecież w przeważnej większości prasa nasza pozostała, jeśli już nie wyraźnie antyreligijną — to religijnie obojętną, bezwyznaniową. I gdyby na podstawie tego, co u nas się pisze i czyta, chciano nas osądzać, smutne wiary naszej dalibyśmy świadectwo. — Tak źle, Bogu dzięki, jeszcze nie jest. — Nie brak wiary, ale wielka w jej sprawach obojętność, dziwna nieświadomość, niepojęta w sferach inteligentnych bezkrytyczność, a może najczęściej moc przyzwyczajenia — to są powody, że pisma niekatolickie zalewają lokale publiczne, w domach prywatnych odbiorców znajdują i u katolików cieszą się wzięciem i poparciem.

Jakże często spotyka się ludzi inteligentnych, z akademickiem wykształceniem, co nawet w takich dziennikach, które religię „atawistycznym zabobonem“ nazywają, lub trawestacyę modlitwy Pańskiej sądownie ściganą pomieszczają, w obronie Wahrmundów i Ferrerów kopie kruszą — nic przeciwnego katolickim swoim przekonaniom i religii nie widzą i pisma te czytają i abonują! Albo ileż to razy widzi się w zakładach naszych zawodowców, kupców, przemysłowców, co na zażydzenie zawodów swoich biadają, na konkurencyę obcych się żalą i na brak poparcia przez swoich narzekają, a zarazem prenumerują jedynie takie czasopisma, które samoobronę warszawską potępiają i podobny jej ruch w kraju zwalczają! A nie brak niestety i takich, co pracy społecznej, kulturalnej czy ekonomicznej oddani, czynnymi są katolickich towarzystw członkami, a prasę tej zbożnej działalności nieprzyjaźną popierają! A gdyby nawet dziennik jakiś nie zamieszczał jaskrawych antyreligijnych wycieczek, to czyż za katolickie można uważać pismo, które dla sprawy wiary obojętne, objawy życia religijnego przemilcza i ten czynnik tak ważny, nietylko w prywatnem ale i w publicznem życiu — religię lekceważy? Bo neutralności absolutnej niema — aut imitaberis, aut oderis. I Chrystus Pan powiedział: „Kto nie jest ze mną, jest przeciw mnie. Kto ze mną nie zbiera, rozprasza“. — To trzeba podnosić i wyjaśniać przy każdej sposobności, bo nietylko niewykształceni, ale niestety inteligencya nasza ignorancyę wielką zdradza pod tym względem i uświadomiania, pouczenia potrzebuje bardzo.

Brak też u nas prasy zawodowej katolickiej prawie zupełny. Choćby dla przykładu wziąć tylko nauczycielstwo nasze ludowe. W ogrompej większości nietylko z imienia, ale z przekonania katolickie, organu katolickiego nie ma. Użalenia na to częste — skargi powszechne. Przedstawienia, tłumaczenia nie pomogą tu wcale — tu, czyny, nie słowa potrzebne. Nauczycielstwo musi mieć organ, któryby świadczył, że postulaty i interesy jego równie dobre — jak na czerwono-bezwyznaniowym — i na katolicko-narodowym gruncie znajdują zrozumienie i gorące poparcie. Że na stworzenie i rozwinięcie prasy katolickiej potrzeba funduszów i pracy — to naturalne i oczywiste. Ale jak nie dość rolę nakładem pieniędzy i pracy uprawić, bo trzeba przed szkodnikami ją ubezpieczyć i bronić, tak i nam prócz funduszów potrzeba złe wykorzeniać, czuwać i przestrzegać przed siewcami nasienia złego.

Ulżyć powszechnej dziś w kraju nędzy spieszymy z wielką ofiarnością. Karmiąc głodnych, pojąc pragnących, przyodziewając nagich, opatrujmy i duchowe potrzeby naszych współbraci. Pamiętajmy też, że prasy jest obowiązkiem nieumiejętnych nauczać, błądzących upominać, wątpiącym dobrze radzić. Pisma, broszury, odezwy rąk, dla których są przeznaczone, zazwyczaj nie dochodzą. Tu żywego potrzeba słowa, skoro tylko dogodna nadarza się sposobność. W stowarzyszeniach, czytelniach, na zebraniach,

w lokalach publicznych i w domach prywatnych pole i sposobność się znajdzie.

Straszna wojna, na wszystkich polach przewroty sprowadzając w świecie całym ogromne, — i w dziedzinie duchowej zmiany przyniosła niemałe. Wyrwała ludzkość z grubego materyalizmu. Pojęć dawnych pozbyło się wielu — a przyswojono sobie nowe. Przestano się wstydzić — duchowych porywów. Wzniosłe ideały wchodzą w swoje prawa, a miejsce kultu dla indywidualizmu zajmuje powszechniejsze uspołecznienie. Te sprawy i w prasie musiały znaleźć oddźwięk.

Nowy rok się zbliża. — Czas odnowić przedpłatę! A więc — i te uwagi na czasie... *W. H.*

Wzajemne pożycie księży na plebanii.

Artykuły, pojawiające się dość często stosunkowo na łamach naszej „Gazety Kościelnej“ o wzajemnym stosunku proboszczów i wikarych, świadczą dowodnie, że sprawa ta jest ważną i że ogół kapłanów odczuwa potrzebę definitywnego jej załatwienia.

Tę sprawę zatem częściej poruszać należy. Niech piszą starsi, co ich razi u młodszych — niech piszą młodsi, czego domagają się od starszych, a porozumienie i zrozumienie się nastąpi.

Rzucam więc garść spostrzeżeń, nie dla polemiki, lecz dla wyjaśnienia rzeczy.

Ci, których moje uwagi nie dotyczą, przyznają mi może słuszność — kto zaś czułby się dotkniętym, niech przyjmie zapewnienie, że nie miałem zamiaru kogokolwiekbądź dotknąć — spisałem tylko luźne spostrzeżenia z dłuższych lat.

Zączynam od kościoła i zakrystyi, gdzie kapłan najczęściej i najchętniej przebywać powinien. Brak poszanowania szat liturgicznych to pierwsza, dość zwyczajna wada u młodych księży. Kto trochę na to zwraca uwagi, przyzna, że księża niektórzy tak pomiatają szatami liturgicznemi, jakby szmatą do ścierania prochów.

To nie buduje parafian, a złym jest przykładem dla służby kościelnej. Nasza służba kościelna zanadto jest spoufaloną ze świętościami kościoła — a wina tu nasza.

Do przymiotów i obowiązków dobrego kapłana należy dalej chętne odwiedzanie konfesyonału. Źle, bardzo źle, jeżeli parafianin, chcący się spowiadać, musi się zgłaszać dopiero do zakrystyi, gdzie, co gorsza, nieraz spotyka się ze złym humorem księdza. Nie jest to chyba zachętą dla parafian do częstej spowiedzi. Na nic kazania o częstych spowiedziach — jeżeli nie są poparte czynami.

W niedzielę zaś i święta kapłan bezwarunkowo powinien być w konfesyonale do końca sumy, choćby nikogo nie było do spowiedzi. Brewiarz, medytacya, różaniec oto zajęcia kapłana w czasie nabożeństwa, jeżeli nie ma kogo spowiadać.

Darmo uczyć, zachęcać i upominać, by parafianie przed końcem nabożeństwa z kościoła nie wychodzili, jeżeli X. wikary złym przykładem przyświeca.

Nigdy nie przytrafiło mi się słyszeć naszych ludzi, żeby krytykowali rabinów — sądzić zaś i obmawiać księdza, to rzecz zwyczajna. Jaka tego przyczyna? Obok innych ważną przyczyną tego jest i to, że rabina w miasteczku ludzie nie widzą i nie znają, księdza zaś młodszego za często widzą i za często na ulicy spotykają.

Młody kapłan na parafii powinien w wyborze towarzystwa dla siebie uwzględniać opinię swego proboszcza, a już pod żadnym warunkiem nie powinien być częstym gościem u tych, dla których jego proboszcz jest przedmiotem obmów i lekceważenia.

Tak być powinno, ale niestety tak zawsze nie jest.

Niech będzie kto bądź, byle było wesoło, oto maksyma, jakiej się trzyma wielu młodych kapłanów.

A że w tych właśnie domach, w których proboszcz, albo tylko z wielką rezerwą, albo wcale bywać nie może, X. wikaremu są bardzo radzi — więc X. wikary częstym jest u nich gościem.

„Miły ich księżunio“ codziennie przynosi jakąś senzacyjną wiadomość z probostwa, więc bawią się wesoło nicowaniem na wszystkie strony: parafianie swego proboszcza, X. wikary swego przełożonego. Ale czy ku zbudowaniu wiernych i ku chwale Tego, który się modlił „ut sint unumu“? I czy można się dziwić, że ludzie chętnie się nami zabawiają, kiedy księdza widzą już zrana odwiedzającego swoich, choć o tej porze i dom jeszcze nie sprzątnięty i pani domu do przyjmowania gości nie przygotowana, kiedy ksiądz swoje wizyty przedłuża mimo pory obiadowej ku niezadowoleniu proboszcza, czekającego na księdza z obiadem i pani domu, narzekającej w kuchni na długie odwiedziny.

Służba miałaby o tem wiele do powiedzenia.

A jeśli dodamy, że niejeden z księży wikarych często późną nocą powraca do domu, to chyba jasnem będzie, dlaczego powaga kapłańska w oczach ludzi maleje, dlaczego księdza obmawiać, wyśmiewać, mieć za próżniaka, to rzecz zwyczajna i niby naturalna. Weszło już w przysłowie: „Niema to jak być księdzem — dochody wielkie, a pracy żadnej!“

Znam miejscowość, gdzie dla X. wikarego, późną nocą wracającego do domu, zostawiano drzwi plebanii otwarte. Razu jednego przyszedł złodziej prędzej niż X. wikary i skradł z plebanii kasę kościelną z większą sumą pieniędzy. Kto tu zawinił i na kogo spada odpowiedzialność?

Z tego już, co tu powiedziałem, łatwo zrozumieć, dlaczego tak często niema dobrego porozumienia pomiędzy proboszczem a wikarym — a czy w takich warunkach może być mowa o zgodnem pożyciu na plebanii?

Tych kilku uwag, może trochę za jaskrawych, ale niestety z życia wziętych, nie odnoszę do wszystkich młodych kapłanów. Chwała Bogu mamy wielu kapłanów z młodszej generacyi pełnych zapału, zaparcia, poświęcenia, słowem „secundum ordinem Melchisedech“. Ale są i tacy, którym do stanu kapłańskiego wiele niedostawa. Za wiele tacy mówią o swych prawach, za mało zaś pamiętają o swych obowiązkach.

Świeccy szanują swój stan, bronią wzajemnie swej godności — a my czemu czynimy inaczej?

Sądźmy się surowo, ale sine ira et studio, nie zamykajmy oczu na własne wady, nie licujące z suknią kapłańską, szanujmy godność i powagę duchowną w każ-

dym kapłanie, a będą nas ludzie szanować i o nas dobrze mówić.

Do usunięcia wielu wad, czy braków, tak u starszej, jak i młodszej braci, wieleby się przyczynił jasno i dokładnie nakreślony regulamin służbowy.

W archidyecezyi lwowskiej Najprz. Konsystorz już poruszył tę sprawę. Przed kilku laty z polecenia jego miały się zawiązać po dekanatach komisye, złożone z proboszczów i wikarych, celem ułożenia takiego regulaminu.

Czy w tej sprawie co zrobiono? Tego nie wiem.

Sądzę, że myśl była bardzo dobra, ale jej urzeczywistnienie wymaga przedłożenia komisyom szczegółowego projektu, o którym każdy z nas mógłby wypowiedzieć swoje zapatrywanie.

Regulamin taki, następnie przedyskutowany na kongregacyach dekanalnych, na zjeździe dziekanów i w prasie kościelnej, a po roku zatwierdzony przez Konsystorz, byłby normą obowiązków i praw tak dla proboszczów jak i dla wikarych.

Wprowadzony zaś w życie, zaradziłby wielu niedomaganiom, skargom i utyskiwaniom. Clara pacta bonos faciunt amicos.

Byłoby więcej zaufania i szczerości pomiędzy nami, a może bodaj o jeden krok zbliżylibyśmy się do tego ideału: „ut sint unum". *W.*

W sprawie sierót.

Jednym z najboleśniejszych skutków wojny — to niezliczona ilość sierót. Każdy, kto ma serce chrześcijańskie, rozumie, że obowiązkiem miłości bliźniego jest zająć się sierotami. Tak nam nakazuje nasza religia święta, tak nam również nakazuje i miłość Ojczyzny. Nie możemy pozwolić marnieć sierotom polskim, boć to przyszli ojcowie i matki rodzin, przyszli obywatele polscy, przyszły naród polski. Im mniej będzie dzieci polskich, im więcej ich wyginie, tem słabszy i mniejszy będzie nasz naród. Dlatego hasłem tych, co zostali w domu, a nie popadli w nędzę, powinni być: „ratujmy sieroty katolickie, ratujmy sieroty polskie!"

Jeśli na kim, to na nas kapłanach polskich, zwłaszcza duszpasterzach ciąży ten obowiązek. Wspaniały przykład w tym kierunku dał nam Najprz. Książę Biskup krakowski, tworząc przy komitecie dla dotkniętych klęską wojny osobną sekcyę opieki nad dziećmi. Na czele tej akcyi stoi znany ze swej działalności w tym kierunku p. radca Szybalski. Także wszyscy inni Arcypasterze nasi polecili gorąco tę sprawę. Tak uczynił między innymi jeden z pierwszych Najprzew. Konsystorz Biskupi w Tarnowie zaraz w pierwszej kurendzie po uwolnieniu kraju od najazdu.

Nie wątpię, że wielu P. T. Konfratrów zajęło się sierotami w swych parafiach, ale z własnego doświadczenia wiem, że nie wszędzie się tak stało, nie ze złej woli lub niedbalstwa, ale z innych powodów. Do takich sam należę, sądzę zaś, że jak teraz mnie się udaje tę rzecz naprawić, tak uda się gdzieindziej z pewnością z lepszym skutkiem.

Kurenda z doniesieniem o utworzeniu sekcyi opieki nad dziećmi przy K. K. B. i z poleceniem tej sekcyi przez Najprz. Konsystorz tarnowski nadeszła jeszcze w czerwcu b. r. Czytając ją, pomyślałem sobie: „Boże kochany! gdzie teraz głowa zajmować się sierotami, zwłaszcza z dalszych stron! Komunikacya utrudniona, kto wie, co się dalej stanie, u ludzi przednowek, a sam człowiek po rozmaitych tarapatach z Moskalami, a później z rekwizycyami, z kwaterunkami, z gospodarstwem, do siebie jeszcze przyjść nie może. Zresztą u mnie parafia mała, uboga; — ktoby tam brał sieroty, jeszcze z dalsza!" — Tak myśląc, odłożyłem sprawę na później.

Dopiero po zbiorach we wrześniu i październiku czytając artykuły już to w „Głosie Narodu", już to w „Ludzie katolickim" o sierotach, zawstydziłem się w duszy, że tak ważną sprawę zbyt lekko zbyłem sobie z głowy. Znów pomyślałem: „Już po zbiorach, które były niezłe, choć nie świetne; sytuacya jaśniejsza, komunikacya łatwiejsza; zima na sieroty macocha; a u mnie ludziska dość ofiarni i miłosierni. Możeby teraz spróbować przemówić za sierotami?"

Tak też zrobiłem. Ale od pierwszego razu skutku nie było. Za jakiś czas (gdy pojawiły się bardzo dobre artykuły w „Ludzie katolickim," czytywanym u mnie stosunkowo dużo) ponowiłem mą prośbę do parafian na ambonie, przedstawiając z jednej strony nędzę sierotek, a z drugiej strony wielkie zasługi wobec Boga i Ojczyzny tych, którzy choć jedną się opiekują. I oto niespodziewany skutek. W parafii ubogiej, półtoratysięcznej zgłosiło się aż 16 osób po sieroty z prośbą, by im je oddano na własność.

Odniosłem się w tej sprawie do sekcyi opieki nad dziećmi przy K. K. B., skąd mi odpowiedziano bardzo słusznie, że lepiej poszukać sierót w najbliższej okolicy, zamiast sprowadzać je ze schronisk krakowskich lub innych. Nadmieniam, że u mnie chwała Bogu nie ma sierót w parafii opuszczonych. Jakież było moje zdziwienie, gdy zauważyłem, że sieroty, których wykaz mi sekcya przysłała, należą do parafii bogatszych, gdzie od wojny mniej ucierpiano, niż w mojej parafii! — Nie czyniąc nikomu wymówki i gotów zająć się wskazanemi sierotami, doszedłem do przekonania, że Duchowieństwo tamtejsze ze sprawą tą musiało podobnie się obejść, jak ja sam z początku. Gdyby bowiem P. T. XX. Proboszczowie zaraz byli poszli za wezwaniem kurendy i gazet i nie przelękli się trudności, względnie pozornej niemożliwości, z pewnością nigdyby do tego nie byli dopuścili, by sieroty z ich parafii, mogące tam znaleźć umieszczenie należyte, wędrowały do parafii innych i to uboższych.

Trudności, jakie się w tej sprawie na pierwszy rzut oka nasuwają, są tylko pozorne. Cóż to bowiem za trudność raz, drugi a choćby i trzeci, przedstawić na ambonie położenie sierotek i wielkie zasługi dla Boga i Ojczyzny ze strony tych, co je przyjmą? — Cóż to za trudność dowiedzieć się od parafian, gdzie jaka sierota bez opieki się znajduje? — Jeżeli u mnie biedacy sami okazali się gotowymi do przyjęcia sierót, to tem łatwiej pójdzie sprawa tam, gdzie parafianie są zamożni. Cóż to za trudność odnieść się w tej rzeczy o poradę czy do sekcyi w K. K. B., czy do c. k. sądu obwodowego? Zapewne

jest z tem trochę kłopotu, ale byłoby bardzo źle, jeślibyśmy tego niewielkiego trudu żałowali w tak niesłychanie ważnej dla Kościoła i Ojczyzny sprawie.

A więc do dzieła! „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią". *Proboszcz.*

KRONIKA KOŚCIELNA.

Nowi kardynałowie: X. Rafael Scapinelli di Leguigno pochodzi ze starej rodziny hrabiowskiej i urodził się 28. kwietnia r. 1858 w Modenie, gdzie ojciec jego był ostatnim już namiestnikiem książęcym. Otrzymawszy święcenia kapłańskie, kształcił się jeszcze w rzymskiej akademii szlacheckiej, poczem pracował przez krótki czas w sekretaryacie Stanu. Następnie rozpoczął karyerę dyplomatyczną jako sekretarz nuncyatury w Lizbonie. Wróciwszy do Rzymu, był znowu czynny w sekretaryacie, razem z X. della Chiesa, obecnym Papieżem, najpierw jako „minutante," potem jako podsekretarz, a od r. 1907 jako sekretarz sekcyi dla spraw nadzwyczajnych. Kiedy nuncyusz Granito Pignatelli di Belmonte został w r. 1911 kardynałem, a w roku następnym opuścił Wiedeń, zajął jego miejsce X Scapinelli. Pius X zamianował go arcybiskupem tytularnym Laodycei. W czasie czteroletniej działalności swojej w Wiedniu złożył nuncyusz Scapinelli liczne dowody niepospolitego uzdolnienia dyplomatycznego i roztropności. Stosunki jego z dworem cesarskim były jak najlepsze, do czego przyczyniała się i ta okoliczność, że rodzina jego była w blizkich stosunkach z austryackim dworem książęcym Este i kilku jej członków pozostaje w austryackiej służbie państwowej (jeden jest podpułkownikiem). Kard. Scapinelli ma pozostać aż do najbliższego Konsystorza na swojem stanowisku jako „pro-nuncyusz".

Kard. Andrzej Frühwirth urodził się 13. września 1845 we wsi styryjskiej St. Anna am Aigen. Mając dopiero lat 18, wstąpił do zakonu kaznodziejskiego i otrzymał w r. 1868 święcenia kapłańskie. Był kilkakrotnie przeorem konwentów w Gracu i Wiedniu. W r. 1880 wybrano go prowincyałem zakonnej prowincyi austryackiej, a od r. 1891 przez lat 12 był jenerałem całego zakonu. Od r. 1906 przebywał w Rzymie jako członek św. Officyum. W r. 1907 zamianował go Pius X. arcybiskupem tytularnym Heraklei, a równocześnie nuncyuszem w Monachium, gdzie go przyjęto z radością jako rodaka, posiadającego wszelkie przymioty na tem stanowisku niezbędne. Działalność jego w Monachium była bardzo owocna. Jest to kapłan uczony, który przez szereg lat wykładał w wiedeńskim domu zakonnym teologię i pracował także nad nowem wydaniem dzieł św. Tomasza. Równie jak kard. Scapinelli, pozostaje on jeszcze w Monachium jako „pronuncyusz".

W jego osobie otrzymał zakon O. O. Dominikanów po dłuższej przerwie znowu zastępcę w najwyższym senacie kościelnym w Rzymie. Ostatnim kardynałem dominikańskim był X. Pierotti, zmarły 8. września 1905 r. Za pontyfikatu Leona XIII (1878—1903) było po dwakroć równocześnie trzech synów św. Dominika, którzy piastowali godność kardynalską: od r. 1887 do 1893 Zigliara, Bausa i Gonzalesy Diaz, a od maja do listopada 1894 obaj ostatni i Mauri, arcybiskup Ferrary. Od założenia swego miał ten zakon 80-ciu swoich synów, zaszczyconych godnością kardynalską. Czterech zaś z tych kardynałów dominikańskich, którzy biało-czarną suknię zakonną także jako książęta Kościoła nosili, wyniesionych zostało na tron papieski: Inocenty V (1276), Benedykt X (1304), św. Pius V (zmarły 1572 r.), Benedykt XIII (zmarły 1730 r.).

Kard. Jan Cagliero jest jednym z pierwszych uczniów Don Bosca i jednym z najznakomitszych i najbardziej zasłużonych członków Zgromadzenia Salezyanów. Urodził się 11. stycznia 1838 w Castelnuovo w Piemoncie (skąd pochodził także Don Bosco). Mając lat 13, uzyskał przyjęcie w zakładzie Don Bosca w Turynie, gdzie ukończył studya gimnazyalne i teologiczne i był 14. maja 1862 jednym z 22 współzałożycieli Zgromadzenia Salezyanów. Przez lat 12 pracował przy boku swego ukochanego nauczyciela, poczem w r. 1875 wyjechał na misyę do Patagonii. W r. 1884 zamianował go Leon XIII arcybiskupem tytularnym (w Magydos) i wikaryuszem apostolskim. Praca jego w Patagonii przyniosła plony zbawienne. Pius X. zamianował go w r. 1908 delegatem dla Ameryki środkowej z siedzibą w S. José (Costarica). W roku następnym obchodził jubileusz 25-letni jako biskup misyjny i 50-letni jako członek Zgrom. Salezyanów. Wtedy otrzymał od Ojca św. pismo, wyrażające najwyższe uznanie dla jego nadzwyczajnych zasług. Jest on także bardzo ceniony jako kompozytor w dziedzinie muzyki kościelnej. Wynosząc go do godności kardynalskiej, chciał niezawodnie Ojciec św. uczcić także zasługi Zgrom. Salezyanów.

X. Kard. Alfonso Maria Mistrangelo ur. się 26. kwietnia 1852 w Sawonie (w Liguryi). W 17-ym r. życia wstąpił do Kongregacyi Pijarów. Mając lat 28, zamianowany został rektorem Kollegium w Owadzie, w r. 1892 biskupem w Pontremoli (w Toskanii), a w r. 1899 arcybiskupem we Florencyi. Położył on wielkie zasługi w obu tych dyecezyach około wychowania religijnego i moralnego ludu i popierał usilnie stowarzyszenia katolickie. Pracował także nad podniesieniem swego zakonu, którego domy odwiedzał jako wizytator apostolski.

X. Kard. Giorgio Gusmini urodził się w miejscowości Vertora (w dyec. Bergamo) 9. grudnia 1855. Wyświęcony w r. 1878, uzyskał w roku następnym doktorat teologii, a w r. 1882 w uniwersytecie padewskim doktorat literatury i filozofii. Przez 6 lat był profesorem tych nauk w seminaryum w Bergamo, a nadto historyi w kolegium S. Alessandro tamże. Zarazem zajmował się gorliwie duszpasterstwem. W r. 1910 został biskupem w koligno, skąd go przeniósł we wrześniu roku ubiegłego Benedykt XV. na stolicę bolońską, na której był jego następcą.

X. Kard. Giulio Tonti urodził się 9. grudnia 1844 w Rzymie. Otrzymawszy święcenia kapłańskie w r. 1867, pracował jako proboszcz kościoła św. Łucyi (del Gonfalone), jako profesor teologii w kolegium papieskiem Propagandy, a potem przez 6 lat jako wicerektor tego zakładu. Jako „minutante" w Kongregacyi dla nadzwyczajnych spraw kościelnych, został wysłany przez Leona XIII. do Anglii dla zbadania sporu, który powstał wtedy między rządem brytyjskim a Wenezuelą, poczem był czynny jako „uditore" nuncyatury najpierw w Paryżu, potem w Lizbonie, jako nuncyusz w Brazylii, a wreszcie w stolicy Portugalii, skąd po wybuchu rewolucyi i walki z Kościołem w tym kraju, odwołano go w r. 1910 do Rzymu.

Nowa Kongregacya Kardynalska. „Acta Apostolicae Sedis" Nr. 18, Vol. VII. zawierają na pierwszem miejscu obszerny dekret papieski o erekcyi nowej Kongregacyi, która ma zajmować się sprawami seminaryów i uniwersytetów. Benedykt XV. mówi najpierw o troskach, które przedtem Kongregacye Soboru i zakonników a później Kongregacya konsystoryalna poświęcały wychowaniu kleru w seminaryach. W ostatniej Kongregacyi namnożyło się tyle agend, iż okazała się potrzeba nowej organizacyi. Nowa Kongregacya ma spełniać zarazem zadania dotychczasowej Kongregacyi studyów, która od czasów Piusa X. zajmowała się tylko studyami uniwersyteckiemi. Kardynałem prefektem tej nowej Kongregacyi zamianowany został kardynał Bisleti, który jako młody stu-

dent Gregoryański uważany był za najzdolniejszego teologa i jako taki odbył przed Piusem IX. publiczną dysputę. Później urzędy, jakie piastował w Watykanie, odciągnęły go od badań naukowych, ale teraz jako kardynał powrócił do swoich studyów. Dla utrzymania związku z Kongregacyą konsystoryalną musi prefekt tej należeć do Kolegium kardynałów a jej asessor do konsultorów nowej Kongregacyi. Odnośnie do seminaryów dyecezyalnych dekret nie zaprowadza zmian żadnych. Zniesiona obecnie Kongregacya studyów była ustanowiona w roku 1824 przez Leona VII. dla państwa kościelnego.

Decyzya św. Officium w sekcyi odpustowej ułatwia żołnierzom pozyskanie odpustów Drogi krzyżowej.

X. E. B.

Austro-Węgry. D. 13. b. m. pod przewodnictwem kard. Czernocha uchwaliła wielka rada katolików ob. greckiego wybudować w Peszcie kościół wotywny na pamiątkę poległych w teraźniejszej wojnie żołnierzy węgierskich. Stanie się przez to zadość choć w części od dawna odczuwanej potrzebie nowych kościołów w Peszcie, gdzie, jak wiadomo, rażąco mała jest liczba świątyń Pańskich i gdzie parafie, jak św. Elżbiety przy głównym dworcu kolejowym, liczą okrągło po 100.000 dusz. *X. E. B.*

Z Królestwa Polskiego. Zburzone kościoły. Wychodzący w Poznaniu organ związku Kapłanów „Unitas“ zainicyował pomoc duchowieństwa wielkopolskiego dla kapłanów, dotkniętych wojną w Królestwie. Obecnie zamieszcza to pismo szereg listów od księży z Królestwa, opisujący stan kościołów i stosunki w zniszczonych parafiach.

I tak do X. prałata Laubitza, proboszcza w Inowrocławiu, pisze jeden z kapłanów:

„Zostałem mianowany proboszczem na dwóch parafiach. Po wielu uprzykrzeniach i trudnościach jadę z dziekanem, aby objąć probostwo. Przyjeżdżamy na miejsce, gdzie gruzy i popioły: to był kościół mój. Zwołano parafian, przyjęli mnie chlebem i solą, łkaniem i szlochaniem, słowa nie mogli ani oni, ani ja wypowiedzieć. Plebania zniszczona do fundamentów. Nazajutrz w chałupce wiejskiej — w sionce — odprawiłem Mszę św. Ornat miałem niby biały, ale że leżał w okopach, więc przegnił do cna. Stuła fioletowa, manipularz czarny, welon na kielich czerwony. Za korporał służyła chusteczka, alba podarta w strzępy, humerału brak było. Gdym zaintonował w Boże Ciało „Swięty Boże“, lud nie śpiewał wcale, bo wszyscy płakali. Ludzie na wpół nadzy, obdarci, mieszkający w norach i jamach, żyjący kartoflami tylko—o ile są—i wodą: modlić się już nie umieją i nie mogą“...

Inny kapłan pisze:

„Sześć kościołów w moim dekanacie mocno ucierpiało, gdzie w czterech nawet nabożeństwo się nie odprawia. Ornatów i bielizny kościelnej wielki brak. Światło zabrano w 18-tu kościołach, wino mszalne wszędzie na wyczerpaniu. Wszyscy księża proboszczowie stracili dwie trzecie swego dobytku wskutek rekwizycyi wojennych. Jeden kościół nowiuteńki w gruzach, drugi strasznie podziurawiony, księża wszystko mienie stracili. W mojej parafii ludność, robotnicy fabryczni, uboga, a 10 tysięcy głodnych; można mieć pojęcie, jaki my tutaj żywot prowadzimy. Wspierać trzeba, a znikąd pomocy. Ofiary mszalne, jedyny nasz obecnie dochód, ustały prawie zupełnie. Każdy z kapłanów, by wśród ludności utrzymać wpływ, pozyskać obałamuconych, nie odpychać bez grosza obdartych i wynędzniałych, powinien mieć przynajmniej po tysiącu rubli, by na przyszłość wspomagać. Już dzisiaj zmuszeni jesteśmy zamykać się — ludność niejednokrotnie łży i anonimami prześladuje. Rozpacz ogarnia, co dalej będzie. Za nami jeszcze gorzej: na miejscu miasteczek i wiosek tylko zgliszcza. Czcigodni bracia z „Unitas,“ wielkich sum nie posiadacie, zebrane rozdaliście, co nam się dostało, za to zapłać Panie Boże“...

Opisy powyższe odnoszą się do lewego brzegu Wisły. Na prawym sytuacya jest jeszcze okropniejsza. Oto co pisze X. Biskup płocki Nowowiejski:

„Na 270 kościołów, jakie posiada dyecezya płocka, 25 zostało zrujnowanych doszczętnie, albo prawie doszczętnie, a mianowicie: w Janowie, Chorzelach, Pawłowie, Czernicach, Przasnyczu (2 kościoły), Węgrach, Jednorożcu, Wyszynach, Unierzyżu, Niedzborzu, Łysakowie, Grudusku, Glinojecku, Krasnem, Gralewie, Smardzewie, Sarbiewie, Rogotworsku, Staroźrebach, Zatorach, Pniewie, Obrytem, Różanie i Myszeńcu. W tych miejscowościach, a może i w innych, z których jeszcze nie doszła mnie wiadomość, nabożeństwo odprawia się w chatach, domach prywatnych, jeżeli nie zostały spalone itp. Obok kościołów tych zniszczonych zupełnie, inne poniosły mniejsze lub większe straty w ścianach, dachach, sprzętach, naczyniach i szatach liturgicznych. Nadto wielka ilość plebanii i zabudowań gospodarskich została spalona lub rozwalona. Dobytek księży w wielu miejscach zniszczony. Wielu kapłanów musiało uciekać w jednej tylko sutannie i przez czas jakiś tułać się po okolicach, dopóki po bitwie nie znaleźli możliwości powrotu do swoich siedzib, gdzie zgliszcza znaleźli. Seminaryum nasze w Płocku, pozbawione pomocy rządowej, nie mając nadziei, aby kwesta doroczna od wiernych mogła się udać dobrze, w trudnem jest położeniu. Dlatego taka szczodra z serca Waszego ofiara przyjęta będzie wdzięcznem sercem. Nie umiem wyrazić tej wdzięczności, jaką odczuwam wobec ofiary kapłanów, którzy z serdecznej miłości dla swych braci, dzielą się swym groszem w tak ciężkich dla nas czasach. Bóg zapłać!“

Niemniej serdecznie dziękuje za pomoc udzieloną Najprz. X. Biskup Zdzitowiecki z Włocławka:

„Ofiarą Waszą tak jestem rozrzewniony i poruszony, że wprost słów nie znajduję na wyrażenie należnej wdzięczności. To tylko niech będzie jej stwierdzeniem, że wszyscy kapłani w katedrze jedną Mszę św. ofiarują specyalnie na intencyę szlachetnych ofiarodawców, wszyscy też ze mną i prześwietną kapitułą moją na czele, z głębi duszy stokrotne „Bóg zapłać“ ślemy, a pamięć o Waszych ku nam uczuciach na zawsze we wdzięcznych sercach zachowamy“.

Turcya. Wskutek usilnych starań papieskiego delegata X. Dolci'ego ustały chwilowo prześladowania Ormian, którzy ze swoim patryarchą za uzyskany spokój złożyli podziękowanie Benedyktowi XV. Patryarcha wyraził w piśmie tem życzenie, aby krew wylana stać się mogła kitem, któryby połączył oba kościoły.

Persya. Także i w tem państwie, gdzie zawierucha wojenna liczne czyni spustoszenia, Kościół katolicki obecnie musi wycierpieć wiele. Mianowicie dotyczy to misyi OO. Lazarystów, tamże gorliwie pracującej. Oto w Aserbeidszan, gdy tylko z tej prowincyi perskiej wycofali się Moskale, napadli Kurdowie na Chaldejczyków chrześcijańskich, pozabijali ich tysiącami i obrabowali całe wsie i stacye misyjne. Dopiero wskutek energicznego protestu ze strony delegata apostolskiego nadciągnęło wojsko tureckie i wypędziło rozbójników.

Bibliografia.

Jezus Messyasz. Poemat biblijny w 4 częściach. Napisał Wingolf. Poznań 1914. Stron 312 w 8-ce. Cena 7 mk.

Nieraz już pojawiały się próby stworzenia wielkiego poematu epicznego, opiewającego życie i śmierć Zbawiciela. Przedsięwzięcie to nastręcza trudności ogromne, którym mógłby podołać tylko twórca genialny, a zarazem głęboko wierzący katolik. Nie powiodło się ono i Klopstockowi, chociaż pierwsze trzy pieśni jego epopei przyjęto w Niemczech z entuzyazmem (w r. 1748) i uznano za arcydzieło.

W naszej literaturze odważył się pierwszy na tę próbę autor, kryjący się pod dziwnym pseudonimem „Wingolfa“ (prawdopodobnie kapłan, pracujący w Wielkopolsce). Jest to (jak czytamy w przedmowie) owoc pracy pięcioletniej, — pracy, dodajemy, żmudnej, podjętej dla chwały Bożej, zasługującej więc na uznanie i życzliwą ocenę. Tchnie ona duchem żywej wiary i szczerej pobożności, sądzimy też, że może stanowić lekturę budującą dla czytelników, którzy nie będą w niej szukali zalet dzieła sztuki. Ale kto będzie ją oceniał ze stanowiska krytyki estetycznej, musi uczynić jej niejeden zarzut: nie jest to bowiem poemat, ale rymowana proza; autor ujmuje w formę wierszową opowiadanie biblijne, przyczem nie jest wcale wybredny w wyborze rymów, które zwyczajnie należą do najłatwiejszych, jak np. „godnego — swego“, — „obecności — nikczemności“ (str. 249), a gdzieniegdzie rym zastąpiony jest przez podobieństwo brzmienia, np. „kapłana — Abrama“ (str. 40). Nie brak i błędnych form, użytych dla rymu, jak „cienia“ zam. „cienie“ (na str. 56). Są i wyrażenia dziwne, ukute dla rymu, jak: „cuda na jawności“ (str. 72), albo w wierszach (ib.):

„A wszelki, który słucha słów mych bezskutecznie,
Podobny jest głupiemu, co działa poprzecznie“.

Są i błędy gramatyczne, jak „nie tracę nadzieję (str. 12)— „co nikt nie rozumie“ (80), — „korciło to Herodias“ (zam. „Herodyadę“).

Szczególnie słowa samego P. Jezusa tracą dużo ze swej podniosłej siły, kiedy się je przekuwa na wiersze w ten sposób, jak to czyni Autor. *X. P.*

Henryk Weryński. **Z dziejów tabernakulum**. Kraków 1914. Stron 26 w 8-ce. Odbitka z „Adoracyi Przenajśw. Sakramentu“.

Pierwsza ta praca bardzo młodego jeszcze autora, słuchacza teologii, oparta na dziełach X. Arcyb. Bilczewskiego „Eucharystya w świetle najdawniejszych pomników, F. Raible'go „Der Tabernakel einst und jetzt“ (Herder 1908) i „Liturgii rzymskiej“ X. Nojszewskiego (Warszawa 1903), zawiera krótki, treściwy i zajmujący przegląd historyi tabernaculum. Napisana jest bardzo dobrze i zasługuje na przeczytanie. *X. P.*

Konferencya O. Lacordaire'a
o wpływie katolicyzmu na prawodawstwo[1]).

Każda społeczność ma jakiś cel, a więc ma swój cel i ta wielka społeczność, założona przez Boga na ziemi, społeczność katolicka. Nie jest to, Panowie, cel ziemski. Założona przez Boga, ma ona cel Boski. Ona jest ziarnem widzialnem innej społeczności, której jeszcze nie widzimy, która jednak jest jedyną prawdziwą, dla której wszystko jest uczynione i o której pisze św. Paweł: „Nie mamy tu miasta trwającego, ale przyszłego szukamy“ (Żyd. 13, 14). Społeczność katolicka przygotowuje wiekuiste życie wspólne sprawiedliwych z Bogiem; ona kształci i doprowadza do dojrzałości dusze, które mają zasłużyć sobie na to, żeby Go mogli oglądać kiedyś, jakim jest w istocie swojej i posiadać Go przez miłość, która nie skończy się nigdy. Ale czy ten cel najwyższy i tajemniczy wyłącza wszelkie inne cele? Czy tego dobrodziejstwa końcowego nie wyprzedza inne dobrodziejstwo? Jakiż jest stosunek społeczności katolickiej do społeczności naturalnej, czyli tej, która jest wytworem naszych interesów i potrzeb teraźniejszych? Czy niema łączności między jedną a drugą? Czy społeczność Boska przechodzi obok społeczności ludzkiej z pogardą, zajęta wyłącznie swoim celem ostatecznym? Czyli też podaje jej rękę pomocną i przyjacielską i czy widzi się je idące razem, jak dwie siostry, które nie są z tego samego łoża, ale mają jednego ojca? Innemi słowy: czy rozszerzenie się społeczności katolickiej w przestrzeni i w czasie było zdarzeniem szczęśliwem dla ludzkości, albo może zdarzeniem, które nie wywarło wpływu na jej losy widzialne? — Odpowiadam śmiało, Panowie, że rozwój społeczności katolickiej wywołał w świecie, przez oddziaływanie nieodparte i zamierzone przez Boga, rewolucyę najmniej spodziewaną a najpomyślniejszą w skutkach. Będzie to treścią konferencyi następnych.

Podwaliną społeczności naturalnej jest sprawiedliwość, która strzeże wszelkiego prawa. Każdy ma prawo do tego, co mu się należy: ale co należy się każdemu? Oto pytanie. Ludzie spierają się o prawo, jak spierają się o prawdę; spierają się o prawidło działania, jak spierają się o prawidło myślenia. Zagadnienie prawdy, zagadnienie sprawiedliwości — niema innych na ziemi, ale te dwa wystarczą same, żeby z ich powodu powstawały coraz nowe walki, które skończą się dopiero razem z rodzajem ludzkim.

Nie znaczy to, Panowie, żeby nie było w porządku prawnym, — podobnie jak w zakresie prawdy istnieją pojęcia i zasady, nasuwające się umysłowi na pierwsze wejrzenie, — żeby nie było i w porządku prawnym pewnych prawideł zasadniczych, które nazywamy bardzo dobrze „prawem natury“; ale tak samo, jak prawdy zdrowego rozumu zamknięte są w kole bardzo ciasnem, tak i zasady prawa natury. Jasną jest rzeczą dla wszystkich, że jest różnica między dobrem a złem i że zabicie ojca nie jest tem samem, co okazywanie mu czci i udzielanie pomocy. Ale cóż znaczą te pojęcia zasadnicze, kiedy chodzi o określenie według wymagań sprawiedliwości stosunków tak zawikłanych wielkiego narodu, o zachowanie zgody i harmonii między osobami, rzeczami, czynnościami i o poddanie porządkowi nawet wypadków najtrudniejszych do przewidzenia? Widzimy, że przy tej pracy najdzielniejsi politycy wahają się i niepokoją, to idą naprzód, to znów się cofają, podobni do żeglarza, który szuka swej drogi na niebie, któremu jednak ruch obłoków i fal zasłania ciągle gwiazdę biegunową.

Ale prawo musi być ustalone, bo żadne społeczeństwo nie może utworzyć się ani żyć bez prawideł, porządkujących stosunki między jego członkami. Dopóki nie otrzyma takich prawideł, będzie ono tylko zbiorem przypadkowym ludzi i interesów, nie powiązanych ze sobą: prawo jest węzłem, który ich łączy ze sobą i z Bogiem, który im daje kraj, zwierzchność, ojczyznę, przyszłość. Ale któż ustanowi prawo? Któż wyda przepisy, dotyczące nakazów i posłuszeństwa, pracy i spoczynku, nabywania i utraty dóbr, kar i zaszczytów? Któż wytknie tej rodzącej się społeczności drogę, którą ma kroczyć wśród zmiennych i nieprzewidzianych okoliczności, kto przygotuje jej sprawiedliwość, która będzie mogła się oprzeć wszystkim zmianom stosunków i namiętności? Czy to będzie umowa dobrowolna? Czy to stanie się tak, że kilku ludzi, spotkawszy się na krawędzi lasu i powodując się popędem obrony własnej, albo dla zdobycia łupów, ułożą między sobą pierwszy zarys wielkiej społeczności? Tak powiedziano, Panowie, i napisano w książce, która pozostała sławną aż do dnia dzisiejszego, ale sam autor „Kontraktu społecznego“ [1]) przyznał później to, co ogłasza historya, że ojcem każdej społeczności ludzkiej był jakiś prawodawca. Człowiek, wybrany przez Opatrzność, nadaje prawa dzięki wpływowi, którego pierwszą przyczyną jest Bóg, który jednak tłumaczą także, na drugiem miejscu, osobiste przymioty tego męża i potrzeby społeczeństwa; tak wyryte są imiona Mojżesza, Likurga, Solona, Numy na podstawach, na których stanęły posągi wielkich narodów. Ale jakkolwiek dzieła ich były wiekopomne, jakże im wiele brakowało, — nie wyjmując nawet Mojżesza, — do tego, co prawodawstwo powinno było dać ludzkości! Ona potrzebowała prawa zasadniczego[2]), prawa niezmiennego, prawa powszechnego, a takiego nie dał jej przed J. Chrystusem żaden prawodawca.

Przez prawo zasadnicze rozumiem nie jakiekolwiek prawo, służące za podstawę tej lub owej społeczności, ale prawo, które tak wniknęło niejako we wnętrzności prawdy i sprawiedliwości, że

[1]) Przekład z oryginału z kilku drobnemi skróceniami i zmianami. Dotąd nie posiadamy jeszcze dobrego tłumaczenia dzieł tego słynnego mowcy. Książka Harta p. n. „O. Lacordaire. Konferencye“ etc. (Warszawa 1914) zawiera przeważnie tylko bardzo niedokładne streszczenie 38-u konferencyi, wygłoszonych w Notre Dame (por. naszą recenzyę w zeszycie grudniowym „Mies. Kat. i Wych.“ str. 559—561). *Dop. tłumacza.*

[1]) Jan Jakób Rousseau. Dop. tłum.

[2]) Autor używa tu nowego wyrażenia: „droit-principe“ Dop. tłum.

ani doświadczenie, ani krytyka pokoleń następnych, ani bieg historyi nie może mu nigdy wykazać żadnego braku, ani zachwiać jego powagi. Tak np. kiedy Mojżesz, schodząc z Synaju, przyniósł narodowi swojemu przykazanie: „Będziesz dzień siódmy święcił i w tym dniu odpoczywał", — był to jeden ze składników prawa zasadniczego. Trzeba tu rzeczywiście podziwiać, choćby tylko biorąc na uwagę stronę ludzką tego przykazania, jak ono świadczy o głębokiej znajomości natury naszej u prawodawcy. Czyż nie trzeba było nadzwyczajnego poczucia sprawiedliwości i rzadkiego daru przewidywania, żeby w tak odległym czasie wydać prawo na pozór tak dziwne, które jednak przyszłość tak wyjaśniła i usprawiedliwiła, że każde społeczeństwo, które niem gardzi, narusza godność, rozum, wolność, moralność a nawet zdrowie ludu i wydaje go ze związanemi rękami i nogami chciwości jego panów, tak, że stawszy się po prostu machiną wytwórczą, wycieńczony na duchu i ciele, wpada w ręce pierwszego zdobywcy, który, szanując dzień siódmy, trzyma otworem źródło religii, dobrych obyczajów i potęgi wojskowej? Takie prawo nazywam „zasadniczem", — prawo, które nie może być zniesione, które jest uświęcone na zawsze: a dlaczego uświęcone? — Bo zrodziło się z wejrzenia na samą siedzibę sprawiedliwości, ze światła, zesłanego z wyżyny, gdzie w Bogu istnieje porządek niezmienny i skąd spływają na nas, mniej lub więcej obficie, owe promienie słuszności, które nas oświecają i stanowią o losach społeczeństw.

Otóż, Panowie, któryż z prawodawców starożytności stworzył doskonałe prawo zasadnicze? Nie można tego powiedzieć nawet o Mojżeszu, — o którym zresztą nie powinienbym może mówić, ponieważ on należy przez swoją historyę i swoje prawodawstwo do społeczeństwa katolickiego[1]), a co do wszystkich innych, szukalibyśmy napróżno w ich dziele czegoś, coby mogło było stać się punktem wyjścia i pierwowzorem dla wszelkiego prawodawstwa. Prawa Manu, Minosa, Solona, Likurga, Numy, ustanowienia najsławniejsze leżą na ziemi, jak zdruzgotane pomniki, ponieważ były zbyt słabem odbiciem wiekuistego oblicza sprawiedliwości nie stworzonej.

Nie miały one także znamienia niezmienności, bez którego najlepsze prawodawstwo nie zdoła ochronić tych, którzy żyją pod jego strażą. Bo wszelkie prawo zmienne zdane jest na łaskę silniejszych, jakakolwiek jest forma rządu, czy lud ma na czele jednego władcę, czy większość zgromadzenia, radzącego nad jego losami; w jednym i drugim wypadku los wszystkich albo przynajmniej mniejszości nie ma obrońcy, jeżeli pomiędzy władcą a poddanymi nie istnieje jakieś prawo nienaruszone, które osłania całe społeczeństwo i zabezpiecza ostatniego z obywateli przed zamachami większości a nawet wszystkich. Jeżeli prawo nie ma takiego znaczenia, nie jest niczem. Jan Jakób Rousseau powiedział: „Jeżeli lud chce sobie samemu wyrządzić krzywdę, któż ma prawo w tem mu przeszkodzić?" — Ja odpowiadam: wszyscy. Bo wszystkim musi zależeć na tem, żeby lud nie nadużywał swej siły i swej jednomyślności, tem bardziej, że ta jednomyślność jest zawsze ostatecznie sprawą pewnej jednostki i jest tylko zamaskowanym uciskiem. Przeciwko wszystkim potrzebne jest prawo, daleko bardziej niż przeciw komukolwiek; bo liczba ma tę złą stronę, że łączy z potęgą materyalną sankcyę pozornej sprawiedliwości. Ale prawo może tylko wtedy coś znaczyć przeciwko wszystkim, jeżeli jest niezmiennne i jeżeli na mocy tego podobieństwa z Bogiem stawia opór niezwyciężony zarówno słabościom społeczeństwa, jak i jego sprzysiężeniom.

Mówię: słabościom społeczeństwa, bo one są dla niego równie niebezpieczne jak jego siła. Ono może uciskać, ale też ulegać uciskowi i potrzebuje mieć w sobie jakiś składnik, którego nie mogą pokonać prądy rewolucyjne. (C. d. n.)

[1]) To wyrażenie trzeba oczywiście wziąć „cum grano salis". Dop. tłum.

Nekrologia.

Śp. X. Józef Aertnys C. S. R.

Jednym z najlepszych moralistów nowszych jest O. Aertnys, zmarły 30. czerwca 1915 r. Urodzony 1828 wstąpił do Zgromadzenia znanych u nas chlubnie Redemptorystów, a po ukończeniu studyów, wykładał z kolei filozofię, historyę kościelną, prawo, a od r. 1860 teologię moralną w Witten w Holandyi w zakładzie swego zakonu, zajmując się równocześnie studyami i wykładami liturgiki. Jako moralista nie odznacza się on wprawdzie genialnością ani nowością pomysłów, jednak ma zawsze zdrowy, uzasadniony a pewny sąd o rzeczy, idzie zawsze złotą drogą umiarkowania, celuje jasnością i zwięzłością wykładu, wogóle godnie naśladuje swego wielkiego mistrza św. Alfonsa. Na nim też głównie się opiera, chociaż więcej zwraca uwagi na dowody, niż na powagi autorów, nie pomija też nowszych zagadnień, których rozwiązania domagają się współczesne stosunki. Systemu trzyma się ekwiprobabilistycznego, nie widzi jednak wielkiej różnicy między nim a rozsądnym probabilizmem, w czem korzystnie różni się od niektórych nowszych swych współbraci (Ter Haar, Wouters), którzy z niezwyczajną Redemptorystom gwałtownością wszczęli wojnę z probabilizmem. Głównem jego dziełem jest: Theologia moralis secundum doctrinam S. Alfonsi de Ligorio (1 wyd. 1886, 8 wyd. Paderbornae 1913), jego uzupełnieniem jest Theologia pastoralis. Z liturgicznych rozprawek jego znane są: Caeremoniale solemnium functionum i Compendium liturgiae sacrae, obecnie już w 8 wydaniu. O jego teologii moralnej pisze Lehmkuhl (Theol. moralis wyd. 11-e II. str. 844): „Opus omnino dilucide et moderate compositum, dignum est, quod cum magna laude commemoretur". Znalazło ono również uznanie Leona XIII, a zasłużone oddaje mu pochwały sam Pius X. w piśmie z 2. maja 1906: „Tuos — pisze Papież — de morali theologia libros quemadmodum iucundo animo, oblatos muneri, accepimus, ita libenti et grata voluntate dilaudamus... In quo non perspicuitas sententiarum placet sola, sed gravitas etiam rerum, optimis suffulta non tam auctorum quam rationum fundamentis... Quamobrem meritum te praeclare quum de clericis in studia incumbentibus, tum de sacrarum confesionum administris, gratulatione prosequimur et voto; tali nempe voto, ut non modo perficiendae sacerdotum scientiae prosis abunde, sed etiam parandae facilius fidelibus multis saluti" (cf. Aertnys, Theol. moralis I, XV). Uznanie zaiste, jakie rzadko dostaje się w udziale autorom.

X. Dr. St. Zegarliński.

Casus conscientiae.

Piszą nam: Proszę o rozwiązanie w „Gazecie Kościelnej" następującego „casus".

1. W jednym z klasztorów żeńskich, złączonym z kościołem, w którym przechowuje się Sanctissimum, prosi chora zakonnica X. kapelana, korzystając z przywileju, udzielonego przez Piusa X dnia 7. X. 1906 r., aby jej „non jejunae" przyniósł Komunię św. w piątek, sobotę, niedzielę i poniedziałek, dzień po dniu, licząc piątek i sobotę jako 2 dni jednego tygodnia, a niedzielę i poniedziałek jako 2 dni drugiego tygodnia.

Quaeritur: Jak należy rozumieć wyżej wspomniany przywilej: „semel aut bis in hebdomada?" Czy należy brać „tydzień" w znaczeniu ogólnem jako przeciąg 7 dni bez względu na to, w którym dniu liczyć zaczynamy? Czy też w ściślejszem znaczeniu jako przeciąg czasu od jednej niedzieli do drugiej niedzieli? A w takim razie, który jest pierwszy dzień tygodnia: niedziela czy poniedziałek?

Od rozwiązania tej kwestyi będzie zależało, czy wolno kapelanowi spełnić życzenie chorej zakonnicy, czy też raczej udzieliwszy Komunii św. w piątek i sobotę, kazać jej czekać na korzystanie z przywileju aż do piątku i soboty następnego tygodnia, aby chora w przeciągu 7 dni nie przyjęła 4 razy Komunii św. non jejuna.

Odpowiedź. N. zd. trzeba słowa „semel aut bis in hebdomada" rozumieć tak, że w każdym tygodniu (licząc go, jak zwykle,

od niedzieli do soboty) wolno dać Komunię św. chorej osobie, nie będącej na czczo, w dwóch dniach (np. w niedzielę a potem we środę lub w czwartek), że jednak nie powinno się udzielać jej przez 3 lub 4 dni z rzędu w tych warunkach. *Red.*

Jeszcze kilka słów o jednolitości w tekstach modlitw kościelnych.

W numerze 48 »Gaz. Kość.« z dnia 10. grud. b. r. poruszył Czcig. X. E. B. ważną sprawę jednolitości modlitw i pieśni kościelnych, zauważając słusznie, iż w każdej prawie dyecezyi i nieomal w każdej książce do nabożeństwa znajdujemy jakieś różnice w tekstach i tłumaczeniach.

Nie ulega wątpliwości, że taka niejednolitość jest szkodliwą i należałoby ją jak najrychlej usunąć. Godzi się jednak zastanowić także nad jej przyczyną.

Zdaniem piszącego te słowa ogólny pochop wydawców do wprowadzania zmian w śpiewnikach i książkach do nabożeństwa jest najwymowniejszym dowodem powszechnie odczuwanej potrzeby wygładzenia przestarzałego nieraz stylu i zastąpienia wyrazów dziś nie używanych nowymi, lub też doboru odpowiedniejszych słów w nowych modlitwach, tłumaczonych z łaciny nie zawsze poprawną polszczyzną. Styl, jak wszędzie, tak i w modlitwie, odgrywa wcale niepodrzędną rolę. Wszak słowa proste, zrozumiałe dla wszystkich, podniosłe, przemawiają lepiej do rozumu i serca i przyczyniają się do większego podniesienia ducha.

Przyznać musimy, że niektórym pieśniom naszym brak tych warunków. Częstokroć spotykamy w nich zwroty rażące, a czasem i niezrozumiałe. Weźmy np. pod uwagę pierwszą zwrotkę pięknej zresztą pieśni do M. B.: »Matko niebieskiego Pana«... Mam pod ręką kilka książek do nabożeństwa i konstatuję, że różni ich wydawcy, nie wiedząc, co począć z tą zwrotką, zgodnie podali ją w dalszym ciągu w tekście następującym:

Ślicznaś i niepokalana,
Jakie wieki, czas daleki,
Czas nie mały, gdy świat cały
Nie słyszał«.

Czyż te słowa nie domagają się koniecznie zmiany? To samo powiedzieć można o pieśni: „*Przed tak wielkim Sakramentem*“... o której przekonałem się niejednokrotnie, iż mało kto pierwszą jej część rozumie. Także Godzinki do N. M. P., w całości istotnie przepiękne, wymagają pewnych zmian, odpowiadających potrzebom naszego ducha. Pominąwszy niezrozumiałe dla przeciętnego ogółu niektóre przynajmniej zawarte w nich figury i porównania i zbyteczną *Abisaj*, zwracam uwagę P. T. Konfratrów na hymn nieszporny. Czytamy tam takie słowa:

»Witaj Zegarze, w którym nazad jest cofnione
Słońce dziesięciu linij, gdy Słowo wcielone,
Aby człowiek z padołu powstał wywyższony,
Niezmiernie od Aniołów jest coś umniejszony,
Słońca tego promieńmi Marya jaśnieje« i t. d.

Nie potrzebuję chyba dowodzić, że takie i tym podobne pieśni należy koniecznie poprawić, a gdy to nastąpi, wtedy wydawcy nie będą się kusili o jakiekolwiek zmiany, które będą im wówczas racyonalnie wzbronione.

Sądzę, że wszyscy kapłani podzielają zdanie Czcig. X. E. B., że jednolitość w pieśniach, modlitwach kościelnych i katechizmach jest rzeczą wielce pożądaną, ale zarazem zgodzą się i na to, że powinny się one odznaczać odpowiednim stylem, jasnością i powagą i że w takiej dopiero formie zatwierdzone przez cały Episkopat polski, powinny być podane do jednolitego użytku we wszystkich naszych dyecezyach. *X. D. K.*

Wiadomości dyecezyalne.

Dyecezya przemyska.

Prezentę na opróżnione prob. w Niebylcu otrzymał X. Franciszek Strzępek, wik. w Domaradzu.

Zamianowani XX. Wincenty Fiema, wik. w Ranižowie, samoistnym ekspozytem w Spiach; Jakób Glazer, wik. w Nienaszowie, administratorem w Żurowej.

Przeniesieni XX. Wikarzy: Józef Świerz z Lubeni do Ranižowa, Wojciech Bogdan z Tarnawca do Lubeni, Zygmunt Boczkaj ze Szlęzaków do Przewrotnego, Ambroży Bączewski z Przewrotnego do Święcan, Jan Gielarowski z Boguchwały do Nienaszowa.

Konkurs na opróżnione prob. w Żurowej rozpisano z terminem do 31. stycznia 1916.

Dyec. tarnowska.

Egzamin konkursowy złożyli XX.: Julian Lesiak, Piotr Lewandowski, Michał Nawalany i Józef Szewczyk.

Przeniesieni XX.: Jan Potoniec z Muszyny do Książnic, Władysław Lalik z Książnic do Porąbki uszewskiej, Jan Dymurski z Porąbki uszewskiej do Wojnicza.

X. Jan Zachara, wik. w Wojniczu, otrzymał trzymiesięczny *urlop* dla poratowania zdrowia.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę na inserat, zamieszczony poniżej o „Jasełkach“ X. Józefa Lenartowicza, które były w prasie kościelnej ocenione bardzo pochlebnie.

Na fundusz prasowy złożyli X. Dr. Warszylewicz (ze Lwowa) 20 kor., X. Dr. Wais (ze Lwowa) 16 kor.

KONKURS.
Fundacya Stanisława hr. Skarbka ogłasza konkurs na
KAPELANA i KATECHETĘ
w Zakładzie sierót i ubogich w Drohowyżu.

Płaca wynosi 1300 koron rocznie, mieszkanie, opał i światło. Nadto 6 pięcioleci po 100, 100, 150, 150, 200, 200 koron i prawo po roku prowizorycznym do stabilizacyi i emerytury.

Wymagany jest nie przekroczony 40 rok życia.

Lwów, 5 listopada 1915.

Kuratorya.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Dr. Aleksander Pechnik.
Z drukarni J. Chęcińskiego we Lwowie, ul. L. Sapiehy 77